

# Anka nie je mięsa

Gdyby spojrzeć na nos Olka Wiadernego z prawej strony, to można zauważyć, że jest skrzywiony w lewo; gdyby spojrzeć z lewej strony – to wydaje się, że nos jest zakrzywiony w prawą stronę. Fakty są takie, że w przeszłości był on lokalnym „wojownikiem” – kto z Olkiem nie zgadzał się w większej lub mniejszej sprawie, ten mógł spodziewać się sprawiedliwości w bezpośredniej bójce; jej wynik był z góry przesądzony. To silny, mocno opalony, dość przystojny mężczyzna w wieku 48 lat, choć wygląda na dużo starszego. W życiu, oprócz picia, zajmował się tylko leśnictwem; natomiast obecnie pracuje jako rolnik w jednym z gospodarstw w Niemczech, acz co jakiś czas przyjeżdża do swego ojca. Rodzeństwo szeptało między sobą, że wyjechał z Polski z powodu stanu, w jakim pozostawił przepisane na niego przez ojca gospodarstwo. „Wszystko rozprzedał, rozpieprzył, nie zostało nic. Tylko dom jeszcze stoi”. Że otworzono niemiecki rynek pracy dla Polaków i dlatego on, „Europejczyk”, jak siebie określa, z tego korzysta – nikogo nie przekonuje. „Mógłbyś siedzieć z ojcem w domu, a nie opłacać dla niego opiekunkę. I tak się słabo nim zajmuje”, tłumaczyła mu jego najstarsza siostra Ania, choć – jak to w przypadku Olka bywa – na wszelkie moralizowanie jest zamknięty jak puszka z Pasztetem Podlaskim.

Tylko on, a ma jeszcze czworo rodzeństwa (Juliusz, Klaudiusz, Ania, Julita), nie potrafił ułożyć sobie życia i pozostał w Buraczanach. „Zamiast życia czy kobiety Olek wybrał wódkę”, mówiono w rodzinie i powtarzano i w całej wsi. Taka deklaracja nie brzmi dość dramatycznie. Gdyby jednak przekonać się, na czym polegał wybór wódki jako celu życia w przypadku Olka i do czego taki wybór doprowadził, to można stwierdzić, że pijaństwo człowieka to „naprawdę obrzydliwa, niebezpieczna sprawa”. „Ja ci, Juliusz, powiem”, zwrócił się do brata podczas wigilii w 2008 roku, „że dla mnie picie zaczyna się po ósmym piwie”. Juliusz chwycił się za głowę, głośno, by inni usłyszeli, wypuścił z płuc powietrze i skomentował lapidarnie: „Oj, chłopie...”. „No co? Tradycję trzeba pielęgnować”, odpowiedział spokojnie.

## W Buraczanach jest spokojnie

Buraczany leżą w powiecie łomżyńskim, w gminie Wizna. Wieś jest otoczona łąkami, które kiedyś były polami uprawnymi, i samotnymi lasami, nie wiadomo do kogo dzisiaj należącymi – najpewniej do państwa. W Buraczanach dzisiaj nie ma już nic, co jest warte zobaczenia. Działały tu kiedyś: mała szkoła, sklepik spożywczy, przystanek, na którym o wiele częściej niż dzisiaj zatrzymywały się autobusy (łącznie Buraczany z Wizną, Jedwabnem czy Łomżą). Warto jeszcze odnotować remizę strażacką – i to tyle. Dzisiaj natomiast o tym, że ktoś we wsi w ogóle mieszka, przypominają szczekanie psów, krowie i końskie łajno leżące tu i tam, zatrzymujący się dwa razy w dniu autobusy i szesnaście pomalowanych na pstrokate kolory uli. Ojciec Olka – Mieczysław Wiaderny – pozostał wierny swoim Buraczanom, wciąż tam mieszka i powoli przygotowuje się do „ostatniej podróży”, jaką jest spotkanie z Bogiem. Jakikolwiek próby przeniesienia go do Białegostoku, gdzie byłby pod opieką swoich dzieci czy wnuków, zawsze kończą się niepowodzeniem. Nawet to, że dość często żądają do pszczoły (gdy udaje się do wychodka, choć od kilku lat ma w domu małą łazienkę), na co bardzo narzeka, czy też to, że w swoim domu tylko siedzi ze swoim synem, i właściwie nie ma co robić, nie jest w stanie

nakłonić go do przeprowadzki. Zawsze tłumaczy, że nie, że nie jest tak, że nie ma co robić sam w domu. Dni mu przecież mijają na modlitwie, odpoczywaniu, przechadzaniu się po gospodarstwie czy zabawach z uwiązaniem na łańcuchu psem. Może też porozmawiać z opiekunką, która odwiedza go dość nieregularnie, czy też pooglądać telewizję i dowiedzieć się co „w wielkim świecie”. Nieregularnie odwiedza go też wnuczka, której 30 lat temu nadano imię Anka. Kiedyś usłyszał od niej pytanie: „Jak dziedzio sądzi, czy można powiedzieć coś naprawdę konkretnego o tym świecie?”. Dziedzio odpowiedział: „Owszem, jest przecież kilka prostych zasad”. Ona przeczesła palcami krótkie jak u chłopca włosy i powiedziała: „Cholera, nawet to nie brzmi zbyt konkretnie”.

## Męsko-kobieca uroda Anki...

---

Olek był zamknięty w sobie do czasu, gdy 30 lat temu ogłosił nowinę: ma dwoje dzieci. Jego bracia i siostry najpierw doznali szoku, a później zasypali go pytaniami: „gdzie”, „kiedy”, „co teraz” i „kto jest matką”. Nieślubnym dzieciom nadano imiona Krzysztof i Anna, które z czasem społeczność Buraczanów przemianowała na Śmiesznego Krzysia i Ankę. Próby dowiedzenia się, kto jest ich matką – a taka wiedza zawsze jest pożądana w społeczności wsiowej – kończyła się niepowodzeniem. Gdy pewnego razu Olka „sąsiad do tańca i różańca” próbował nakłonić go do seksualno-ojcowskich zwierzeń poprzez wlanie mu do gardła litra wódki i kilku butelek wina, skończył z połamanymi żebrami, a potem musiał uciekać jak zajęc przed myśliwym. Wątle światło podejrzeń padło kiedyś na opiekunkę Mieczysława, innym razem na kochankę Niemca, u którego pracował. Olek gasił je szybko.

Urodę jego córki – Anki – najlepiej charakteryzują słowa: męsko-kobieca. Ma niebanalnie-inteligentne i czasami wulgarnie poczucie humoru, zawsze się uśmiecha i tkwi w niej nieustanna ciekawość świata. Dodać należy umiejętność jednania sobie ludzi i rozwiązywania konfliktów, jakkolwiek obie strony by się poróżniły. Wszystkie te cechy rozbłysnęły pełnym blaskiem, gdy opuściła Buraczany, „w których nic się nie dzieje” i które „są pozbawione rozkoszy intelektualnych”. Dla ich zaznania wyjechała na studia do Białegostoku (pedagogika rewalidacyjna), dołączając w ten sposób do dużej liczby młodych mieszkańców okolicznych podlaskich wsi i miasteczek, którzy chcieli poszukać dobrego życia gdzieś indziej – najpewniej tam, gdzie nie czekała ich praca na gospodarstwie. Całe studenckie życie mieszkała w akademiku. Pokój dzieliła z Gosią – studentką tego samego co ona Wydziału Pedagogiki i Psychologii. Później zmieniały się współlokatorki, a równocześnie powiększała ilość znajomych i utrwały się przyjaźnie.

Gdy tylko przyjechała do Białegostoku na studia, od razu oczarował ją „wielki świat”. To wtedy pierwszy raz powiedziała swojemu bratu o akademickich pojęciach typu heteromatriks, gender, mniejszości, wykluczenie, prawa człowieka. Dość szybko też wraz z kilkoma osobami założyła stowarzyszenie, któremu nadano nazwę IRIS<sup>1</sup>. Tam też – w Białymstoku – z czasem

---

<sup>1</sup> Iris to imię greckiej bogini uosabiającej tęczę, po łacinie oznacza tęczęwkę oka i jest symbolem różnorodności. Jej głównymi celami są: integracja osób LGBTQ, edukacja, działania antydyskryminacyjne i równościowe związane z orientacją psychoseksualną i tożsamością płciową w szczególności w Białymstoku i regionie”. To pierwsza i jedyna tego typu organizacja pozarządowa w tej części Polski. Ma na swoim koncie organizację wydarzeń takich jak: Białostocki Dzień Milczenia Przeciw Homofobii i Transfobii, Rowerowa wycieczka do Supraśla, Tęczowe podchody, Sonda przedwyborcza, RuszaMY LGBTQ w Białymstoku, Walentynki z Grupą IRIS. W ten sposób pojęcia: orientacja psychoseksualna i tożsamość płciowa, osoby transpłciowe, nieheteroseksualność, heteromatriks, *queer*, *gender* pierwszy raz w takim właśnie brzmieniu głośno zaistniały na Podlasiu.

stała się dość znana. Zaczęto zapraszać ją do radia, pisała o niej prasa, nawet raz przyznano jej nagrodę za działalność społeczną na rzecz osób LGBT.

Uzupełnieniem charakterystyki Anki jest jeszcze to, że lubi dyskusje na przykład o Gertrudzie Stein i Alicji Toklas (i kobietach tworzących literaturę), Trumanie Capocie i Jacku Dunphy; podróżach, oswajaniu nowych przestrzeni – choć to nie zajmuje jej dużo czasu, bowiem potrafi szybko klimatyzować się w nowych miejscach. Uwielbia nowe smaki i zapachy i na długo je zapamiętuje. Kocha każdy rodzaj muzyki, jaką poleca jej osoby, które ona ceni.

W tamtych czasach, czasach dzieciństwa obydwójga młodych, Anka była dla Śmiesznego Krzysia „ukochaną siostrzyczką”, z którą wciąż jeszcze lubił chodzić „na bagna”, ale później, gdy ona wyjechała na studia – już tylko „znajomym”. Jednak myśli Anki buntowały się przeciwko takiemu jej nazywaniu. Jeśli już to Krzysio powinien nazywać ją „znajomą”. Ona przecież w przeciwieństwie do niego jest dziewczyną.

## ...i fatalne oczy Krzysia.

---

Chętniej niż „uczoną-Ankę” czy Olkowe wyjazdy do Niemiec dyskutowano dziwactwa Krzysia. Krzysia wsiowa społeczność bardzo szybko zaczęła przezywać Śmiesznym Krzysiem – a to dlatego, że uchodził za największego dziwaka, jakiego znali ludzie „żyjący między Narwią a Bugiem”. W ich pamięci najbardziej utrwaliły się dwa wydarzenia (choć tak naprawdę można by wymienić kilkanaście ich tuzinów), w których chłopak grał pierwsze skrzypce. Pierwsza sprawa dotyczyła flagi. Najpierw Śmieszny Krzysio przez pół dnia kopał na swojej posesji głęboki rów. Potem z największym wysiłkiem umieścił w nim kilkumetrowy, okorowany na kryształ pal z przymocowaną na jego końcu flagą amerykańską. Stojąc w pewnej odległości od swojego dzieła, podziwiał je, dumnie przeczesywał dłońmi swoje nieświeże włosy. Sąsiedzi, obserwując z bliska i daleka powiewającą na wietrze flagę, zastanawiali się, czemu to służy.

„Solidaryzuję się z Ameryką”, odpowiadał we wrześniu 2001 roku.

Druga rzecz działa się kilka dni później, gdy z wielkim zapałem zaczął zwozić do swojej podziemnej piwnicy żywność. Kupował ją w marketach w Białymstoku: olej, mąkę, makaron, groszek, fasolę, sól, cukier, wodę mineralną. Nagromadził tego tak dużo, że mogłoby starczyć na wyżywienie całej armii amerykańskiej. Lecz wszystko to miało służyć wyłącznie jemu (ewentualnie też „jego dobremu znajomemu”) – na wypadek ataku na wieś. „Amerykę już zaatakowano”, powiedział. „Coś mi mówi, że Buraczany będą następne. Na szczęście w tym krzysie ja będę miał co jeść”. Dumnie przeczesał włosy. „Czuję się bezpiecznie, yes, yes, yes!”.

Ale nie można było powiedzieć o Krzysiu – co czyniła większość mieszkańców Buraczanów – że był „idiotą zupełnym”, „głupkiem” czy – to już inwektywa mało elegancka – „chamem wsiowym”. Krzysio żył we własnym świecie i tak jak jego ojciec, który miał uwielbienie do podróży do Niemiec, tak on lubił podróżować, wędrować, wychodzić z domu, ale najbardziej lubił jazdę pociągiem, na przykład do Białegostoku, który traktował jako „przedsionek do wielkiego świata”. Dla niego podróż tam była wydarzeniem doniosłym, niezapomnianym, „dla takich chwil warto żyć”. Dla równowagi – usłyszał kiedyś, jak siostra tłumaczyła swemu ojcu, że dla niej „taki Białystok czy Katowice” to tylko jeden z kolejnych dworców w jej życiu, „nic specjalnego”. „Gdy jestem w Dublinie, chce mi się do Belfastu i Brukseli. Gdy jestem w Utrechcie, pragnę pojechać do francuskiej Tuluzy, litewskich Druskiennik czy Pragi czeskiej. Gdy zwiedzam Belfast, Budapeszt czy Hagę, tęsknię do Sofii, Dortmundu albo Ravenny. Czasami to dziwne, ponieważ w wielu z tych miejsc nigdy nie

byłam”, charakteryzowała swój stosunek do podróży i życia w ogóle.

Szczególną przypadłością, na jaką cierpiał Krzysio, był wzrok. Ale nie chodzi o to, że cierpiał na zeza czy daltonizm, to coś zupełnie innego. Tak to wyjaśniał: „Kiedy idę nad Narew i siadam na samym jej brzegu, to zdejmuję buty, a nogi moczę w wodzie. Potem zdejmuję koszulę i spodnie, nad pępkiem robię małe wałeczki z brudu, wchodzę do wody i pluskam się dowolnie. Lecz za każdym razem, gdy pojawia się jakaś panienka, a ja patrzę na nią i widzę, że ona mnie widzi, natychmiast ucieka”.

Śmieszny Krzysio miał złe oczy i to one była temu winne.

„Nawet znajomość z siostrą przez moje oczy obróciła się w pył! Spaliłem ją!”.

„Człowiek, który miał złe oczy, mógł przyczynić się do śmierci wszystkich prosiątek. Tak mówili moi rodzice”, powiedziała jedna z mieszkanek Buraczanów. Inni mieszkańcy: „To prawda, że niektórzy ludzie mają złe oczy. Na przykład mój zmarły sąsiad nigdy nie przychodził pomagać, gdy cielęta się krowa czy źrebięta kobyła, bo miał złe oczy i mógł zaszkodzić. Inny mój sąsiad, jak spojrzy, to dobytek staje się niespokojny, traci apetyt. On sam nie mógł uwierzyć, że jego oczy mogą zaszkodzić”, „Bywało tak, że gospodarz kupił ładnego konia. Jedzie zadowolony po wsi. Wystarczy, że człowiek ze złymi oczami spojrzy i koń pada jak nieżywy. Wtedy trzeba biec po babkę i prosić o odczynienie uroku”, „Kiedyś moja mama tłumaczyła, skąd się biorą złe oczy: gdy matka przestanie karmić dziecko piersią, a później znowu zacznie je karmić, to taki dorosły człowiek będzie miał szkodliwe oczy. On nawet może nie chcieć ich mieć, ale i tak już będzie. Kiedyś ludzie tak mówili. Prawda to czy nie? – tego to nie wiem”. Ale o tym, skąd biorą się złe oczy i jak ja leczyć, najlepiej wiedzieli w Orli.

## Szepty dobre na oczy fatalne

---

Jednym z lewych dopływów Narwi jest Orłanka, licząca sobie pięćdziesiąt kilometrów długości. Rzeka przepływa przez małą wieś Orle, która ulokowana jest na południowym wschodzie od Bielska Podlaskiego, blisko granicy polsko-białoruskiej. Wieś liczy sobie ponad 1100 mieszkańców, z czego znaczna większość jest wyznania prawosławnego. Z zabytkowych budynków godnych uwagi warto wymienić: synagogę barokową, kirkuty żydowskie z XVIII i XIX wieku, osiemnastowieczny cmentarz unicki z cerkwią cmentarną pw. Świętych Cyryla i Metodego z 1870 roku. Oprócz tego działają tam Kościół Chrześcijan Baptystów i Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Jednakże swojego czasu o tej wsi stało się – można tak to ująć – głośno z powodu mieszkającej tam szeptuchy, pani Wiery, do której zaczęli zjeżdżać ludzie nie tylko z innych miast Podlasia, z tym z Buraczanów, co zresztą odbywa się do dzisiaj.

„Ulica Kleszczelowska, 200 metrów za cerkwią w stronę Redut, Dobicz Cerkiewnych, na zakręcie”, „będzie stało tam dużo samochodów, straszenie długie kolejki są do niej, dlatego warto jechać tam z samego rana. Szary domek z gankiem. Jak jechać do Dubicz Cerkiewnych, to przed takim wysokim domem”; „Przyjmuje codziennie poza niedzielami i świętami prawosławnymi. Czeka się około 2 godzin. Opłata, z tego co wiem, jest *co laska*” – użytkownicy forów internetowych wymieniają się informacjami na temat szeptuchy Wiery; wszyscy oni cierpią na jakieś schorzenia, coś im dokucza – szukają w ten sposób ratunku.

Informacje, jakimi na forach internetowych anonimowo wymieniają się użytkownicy, są mocno zbieżne z tym, co pamięta Marzena – żona Juliusza – która w 1987 roku udała się do owej szeptuchy ze swoją półroczną córką, Bogną. Za lewym uchem dziecka znajdowała się czerwonawa narośl, to jest nowotwór łagodny zwany naczylniakiem. Marzena: „Pamiętam, że

droga do jej domu w Orli była szeroka, mijaliśmy drewniane domy z kominami. Jeszcze bardziej zapamiętałam bardzo długi łańcuch samochodów zaparkowanych tu i tam i bardzo długą kolejkę. Ponieważ byłam z półrocznym dzieckiem, to ludzie pozwolili mi wejść do szeptuszki już w chwili, gdy przyjechałam. Weszliśmy do izby, do której drzwi otworzyła przy pomocy olbrzymiego klucza, jakby z bajki. W środku było bardzo czysto, żadnego kurzu. Najpierw na głowę dziecka położyła białe prześcieradło, a potem za jej lewym uchem spaliła trochę lnu, szepcząc modlitwy w języku, którego nie znałam; ale z pewnością nie był to białoruski. Nadal modląc się, do naczyniaka przyłożyła zęby widelca i zapytała mnie, czy jestem wierząca. Było to jedyne pytanie, jakie mi zadała, a jednocześnie jedno z niewielu zdań skierowanych tamtego dnia do mnie. Po zdjęciu prześcieradła dała mi zawiniątko małe jak cukierek, nie wiedziałam, co jest w środku, i kazała rozrzucić jego zawartość na rozdrożu w mojej miejscowości. Na koniec położyła Bognę na rogu stołu, na drugim zaś małe ciastko, które zaraz zgmiotła dłonią i zaleciła dać jej do zjedzenia. Kiedy zapytałam, ile powinnam zapłacić, odpowiedziała: *Co łaska na świecę*. W tamtym roku jeździłam z Bogną po lekarzach, którzy przypisywali jej różne leki, a ponieważ naczyniak po roku zniknął jak duch, to nie miałam pewności, czy przyczynili się do tego bardziej lekarze czy szeptuszka z Orli”.

Po chwili dodała jeszcze: „Z tymi szeptuchami to jednak coś jest na rzeczy”. Ale zrobiła to szepcem, by nikt, kto jest wykształcony, tego nie usłyszał.

## Stało się!

---

W 2010 roku Olek powiedział: „Synek, daleko stąd, za bagnami, w Orli mieszka szeptuszka, która potrafi odczarowywać oczy fatalne”.

Anka powiedziała: „Opowieści o szeptuchach – a te żyją tylko na Podlasiu – które potrafią odczyniać uroki, funkcjonują bardziej jako ciekawostka i zabobon niż fakt, empiria. Od czasu do czasu ktoś pojedzie do tej Orli z kamerą i robi film dokumentalny, potem umieści go w Internecie. Ktoś napisze artykuł do gazety albo pracę magisterską. Szeptuchy to tylko konstrukt ludowy, folklor”.

Oczywiście, natychmiast w głowie Krzysia zaczęły kombinować się plany wyprawy na bagna i dotarcia do „szeptuszki, która potrafi odczarowywać oczy fatalne”. Rozmyślał nocami, na kartkach rysował linie ciągłe i przerywane, trójkąty, kwadraty, okręgi; robił zapiski, w mapach sprawdzał szczegóły, a Anka nieustannie dowodziła, że żadna znachorka nie odczyni uroku, ponieważ on nie jest dotknięty żadnym czarem. „Czary nie istnieją. Poczytaj w książkach o tym”.

Po tej deklaracji Anka i Krzysio spakowali plecaki: termos z kawą, kubek i dwa papierosy i jeszcze, aby plecak był cięższy, „bo wtedy wygodniej się idzie”: drewniany klocek (na wypadek, gdyby było trzeba rozpaść ognisko), kostkę do gry (na wypadek, gdyby trzeba było wylosować, kto to ognisko rozpali), szklany przycisk do papieru (rzecz niezbędna na każdą wycieczkę krajoznawczą), obieraczkę do ziemniaków (rzecz dobra do obierania ziemniaków), trzy długopisy (na wypadek, gdyby te dwa pierwsze niespodziewanie się wypisały).

Tamtego sobotniego południa 2010 roku, gdyby spojrzeć na rozlewisko z lotu ptaka, można by dostrzec dwoje młodych ludzi małych jak kropki, przepływających się przez bagna. Był to czas, gdy wskutek roztopów Narew wylała, więc można zobaczyć duże, płytkie jezioro, z którego samotnie lub w grupach wyrastały płyty trzciny, krzaki, a tu i tam wznosiły się małe wysepki. Potem przez wiele tygodni to rozlewisko ginęło, bo rzeka wracała do swojego koryta, ale mimo to dziesiątki jej różnej wielkości odnóg składały się na obraz też niekonkretny – nie

wiadomo, w którą stronę rzeka płynęła, ponieważ któraś odnoga krzyżowała się z inną, inna niespodziewanie kończyła, mając na przeszkodzie mur gęstej roślinności. Wtedy też – tak samo jak i dzisiaj – można było odnotować tam liczne stada gęsi zbożowych, świstunów, rożeńców, batalionów, rycyków, rybitw białoskrzydłych, ale też bąków czy gęgaw.

Jakieś dwie godziny po wyruszeniu Anka zakomunikowała: „Nie ma komarów, ale przyroda oddycha inaczej”. Potem dodała: „Czuję krew zwierząt. Tata mówił, że w dawnych latach przychodzili tu na polowania”.

Potem zaczął padać deszcz – najpierw nieśmiało, zaraz intensywnie – więc schronili się pod drewnianą kładką. Milczeli, wsłuchując się w koncert przyrody. Głowę Anki zajmowały różnorakie myśli. Porównywała prawidła rządzące życiem na wsi i w mieście, powtarzała słowa typu „ponowoczesna płynność”, „gender”, „prawa człowieka, prawa zwierząt”, „nie rodzimy się kobietami – stajemy się nimi”. Spojrzał na nią tępym, pozbawionym zrozumienia wzrokiem.

Stało się! Urok został rzucony!

„W przededniu wyjścia na bagna miałem sen”, opowiadał później Śmieszny Krzysio. „Śnił mi się czarny kot, chciałem go wykąpać pod prysznicem. A potem na bagnach pomyślałem, że tracę wzrok. Strasznie bolały mnie oczy, tak mnie raziło, że cały czas mimowolnie zaciskałem powieki i miałem problem, żeby normalnie je otworzyć. Powodowało to dziwny grymas na mojej twarzy. Musiałem idiotycznie wyglądać pod tym drzewem, taki grymas, gdy próbujesz się uśmiechnąć, niby usta potrafią, ale oczy nie”, podsumował.

Ale podczas tamtej wyprawy 2010 roku ani intuicja nie pomyliła Anki, ani nie było nic nieprawdziwego w konstatacji „w dawnych latach przychodzili tu na polowania”. Tak, w czasach odległych odbywały się tam głośne polowania i jeszcze głośniejsze uczty. Polowania najbardziej pamięta ojciec Olka - Mieczysław, a jeszcze bardziej – jego dziadek.

## Zaczynamy wielkie żarcie...

---

Nazywał się Bończa Wiaderny, miał dziewięcioro rodzeństwa, Mariannę, która w wieku 17 lat została jego żoną, wielkie gospodarstwo i talent do gospodarzenia. Uchodził za „wyborowego myśliwego”, „niezgerszego kucharza”, „wspaniałego bibosza” i „wielkiego gospodarza, ze zdaniem którego wszyscy we wsi musieli się liczyć”. Ale najbardziej znany był z dwóch powodów: organizowanych raz do roku dużych uczt, które dzisiaj można by nazwać ucztami gargantuicznymi lub po prostu wielkim żarciem, a na które zapraszał najbogatszych gospodarzy – wraz z żonami – Buraczanów; oraz – częstych libacji.

Akurat z alkoholem w rodzinie Wiadernych nigdy nie było problemu – to też tradycja. Napitek miodowy sporządzał z najlepszego prażonego, pozbawionego wosku miodu pszczelego, do którego dodawał chmiel z wodą, soki owocowe, zioła i korzenie. W zależności od tego, czy patokę – a więc płynny miód – dorabiał sokiem wiśniowym, malinowym czy dereniakiem, otrzymywał napitek zwany kolejno: wiśniakiem, maliniakiem, dereniakiem. Miody podług jego receptury leżakowały długie lata w ciemnej piwnicy. Czasami eksperymentował z ingrediencjami, korzystając z wiedzy najprawdopodobniej wyczytanej w książkach kulinarnych, i uzyskiwał doskonały likier, zwany krupnikiem. Ten napój społeczność Buraczanów traktowała jako panaceum na przeziębienie, a ponieważ Bończa trunki przyrządzał w dużych ilościach, to zawsze „znajdowało się we wsi co najmniej dwudziestu, którzy mimo nawet upalnej pory cierpieli na przeziębienie i byli pozbawieni witalności”.

Tradycję sporządzania alkoholi przejął po nim Mieczysław, czemu zawsze z wielką

uwagą przypatrywał się Olek. Jednak za każdym razem, gdy „zaglądał, gdzie nie trzeba, ojciec walił go po łapach”, potem „za ucho wyprowadzał gdzieś daleko i krzyczał, że nie ma tu na co patrzeć”. Czasami też straszył, że „jak będzie przeszkadzał, to przyjdzie Cyganiuk, wsadzi go do worka i poniesie daleko”.

Drugi, a właściwie pierwszy powód, dla którego Bończa był znany we wsi, to coroczne uczty, podczas których obowiązywała jedna zasada: „Wstrzemięźliwość jest cnotą nietowarzystką”<sup>2</sup>. Dla właściwego przygotowania takiej biesiady w stylu gargantuicznym należało spełnić przynajmniej dwa warunki. Pierwszym z nich było precyzyjne urządzenie dużej izby. Bończa i Marianna komponowali je na kształt starego, holenderskiego obrazu z ciemnym tłem. Popiersia postaci historycznych, figurki, zegar, obrazy Alfreda Kowalskiego, Jana Pawła Lelewela, podobizny szlachciców z podgolonymi łbami i szlachcianek w rurkowanych czepkach, żardinierki, kwiaty doniczkowe i bibeloty wynosili do oficyny gościnnej, okna przesłaniaли brunatnymi zasłonami, dzięki czemu światło naturalne nie docierało do stojącego na środku dużego stołu; w pomieszczeniu robiło się duszno, zwłaszcza, że zapalali kandelabry. Siadali na wygodnych krzesłach wokół stołu, który ugiął się od ciężaru jadła – a dodatkowo było ono rozkładane na podłodze wzdłuż ścian i na dodatkowych krzesłach.

„Wszyscy żarli, uszy się trzęsły”.

Co i jak jedli?

## ...jemy...

---

Można było znaleźć wszystko, czego dusza zapagnie: góry surowych jarzyn i owoców, które były dobrym tłem dla pieczeni; na metalowych półmiskach układano ryby – zarówno gotowane w całości, jak i surowe, przygotowane do smażenia (goście wybierali wówczas kawałki, które Marianna smażyła w kuchni na poczekaniu) – między innymi srebrzystego pałasza, ciemnoszarą płastugę czy karmazyna; dobrze wyglądały gotowane raki przybrane koprem i rozkrojoną cytryną, a jeszcze lepiej – pieczona dziczyzna, pieczony indyk, gotowany zajac – tutaj dla efektu drugiego zajęcia w skórce, racice z dzika, łapy niedźwiedzie, mózgi i chrapy z łosia wieszano nad stołem; pasztety z jarząbków, kwiczołów, jemioluszek, węgorza, miętusa a nawet z wróbla; elipsowate kartacze większe niż pięści dorosłego mężczyzny z tłustą zasmażką, kartofle podawane z cebulą i śmietaną „z dodatkiem jakiejś tłustości”, bigos; chłodnik w filiżance, ale nie ze wszystkimi składnikami, tylko z ogórkiem, potrawkę z raków, kurczęta pieczone, owoce mieszane ze spirytusem i kruche ciasteczka; z wielkim smakiem goście pożerali sałatkę kartoflaną zwaną sałatką generała Berthaud, którą Marianna przygotowywała w następujący sposób: kilo ugotowanych i pokrojonych w plasterki ziemniaków, jedno pudełko filecików anchois, dziesięć deko oliwek czarnych, pół kilo ugotowanej fasolki szparagowej układała w salaterce warstwami: najpierw ziemniaki, potem oliwki, znów ziemniaki, fileciki; potem zalewała to połową butelki wytrawnego szampana i pozostawiała na 12 godzin; polewała sałatkę kieliszkiem mocnego koniaku i mieszaniną musztardy, oliwy, soli i pieprzu; nie mieszała. Zapijali to wszystko alkoholem: wiśniakiem, maliniakiem, dereniakiem, krupnikiem, które to miody leżakowały długie lata w ich ciemnej piwnicy, spokojnie czekając na ten szczególny dzień w roku. Ale do gardeł wlewali też bimber i piwo, chmiel z wodą, soki owocowe, zioła i korzenie.

„Wszyscy żarli, uszy się trzęsły, brzuchy stawały się ciężkie”.

---

<sup>2</sup> Za autora sentencji uznaje się Alojzego Żółkowskiego (ok. 1831 r.). Jej pełna wersja brzmi: „Nie ufaj ludziom, którzy mało jedzą: w ogólności są to zazdrośni, albo złościcy. Wstrzemięźliwość jest cnotą nietowarzystką”.

## ...i umieramy z uśmiechem na twarzy.

---

„Wszyscy żarli, uszy się trzęsły, brzuchy stawały się ciężkie, pierdy głośno szły w świat”.

Ale żarcie 1899 roku było ostatnim, jakim zapamiętali mieszkańcy tej części Kraju Nadwiślańskiego. Jedli i pili bez użycia sztuczków i bez opamiętania przez całe popołudnie, noc, aż do następnego dnia i dłużej; jedli aż do momentu, gdy żołądki odmawiały przyjęcia choćby łyżeczki sosu z prosiaka czy najmniejszego kawałka ciasta truskawkowego, gdy dławili się własnymi wymiocinami, a powietrze od ich gazów stawało się cięższe niż drzwi do obory. Śmiali się głośno, jedząc. Jej skutkiem była śmierć Józefa Fiszera, właściciela ogromnego gospodarstwa, który eksportował kurze jaja na rynek Cesarstwa Rosyjskiego. Ostatni obrazek z jego udziałem został zapamiętany w następujący sposób: ubrania poplamione żółto-czerwonymi wymiocinami, włosy tłuste, głowa napuchnięta i sina, spływający po ustach język, zapach będący mieszanką wymiocin, potu, gotowanego mięsa i wydobywającego się spod kalesonów kału.

Ale w oczach biesiadników nie było widać przerażenia. Wezwano jedynie przebywającą niedaleko wraz ze swoim taborzem „mądrą, starą matkę”, aby coś zaradziła na śmierć z przejedzenia. Wiedziano bowiem, że dobór odpowiednich ziół potrafi zdziałać cuda – a to właśnie była domena Cyganów. Wędrowni Cyganie zawsze wiedzieli, gdzie, kiedy i jak szukać właściwych ziół. Wiedzieli, że wiesiołek „odstarzał, kiedy przychodzi lato”, płucnica „powoduje, że człowiek już nie kaszle”, kocanka skuteczna jest na reumatyzm, a po rozgryzieniu podobna w smaku do jałowca. I choć taką, dość prostą wiedzę posiadali prawie wszyscy cygańscy wędrowcy, to jednak właścicielką wiedzy największej (magicznej i leczniczej) była tak zwana *gody pchuri daj*, „mądra stara matka”. To ona – nauczycielka wróżbiarstwa i znachorka – obok wodza cieszyła się w swoim taborze największym respektem i posłuchem (dzisiaj Krzysio klnie się na „rzeczy niegdyś mu najświętsze, na przykład na *wyprawy na bagna*”, że na własne oczy widział taką Cygankę, choć „wolał długo na nią nie patrzeć”; a Anka konstatuje, że wszystko to jest jedynie stereotypem). Ale wiedza, które zioła mają moc magiczną, w przypadku Józefa Fiszera okazała się mało pomocna – Fiszera pozostał martwy. Za to przed wejściem do domu stara Cyganka „schyliła się i zaczęła zrywać tylko sobie znane ziółka. W tej samej chwili wszyscy biesiadnicy „poczuli zmęczone oczy, poczęli głośno ziewać i systematycznie – jeden po drugim – zasypiać”. Potem „już tylko dało się słyszeć głośne chrapanie”. A Cyganka spokojnie opuściła dom Wiadernych, wynosząc zeń „kosztowności i błyskotki”.

## Delikatny zapach ziół cygańskich

---

„Czasami ojciec straszył, że jak będę mu przeszkadzał albo zaglądał, jak pędzi bimber, to przyjdzie Cygan, wsadzi mnie do worka i poniesie daleko”, powiedział Olek.

„Ja sam na własne oczy widziałem Cyganów”, zakomunikował Śmieszny Krzysio.

„Wszystko to jedynie wstętne stereotypy”, powiedziała Anka. „A poza tym to są Romowie, nie Cyganie”.

Wprawdzie nikt nigdy na własne oczy nie widział tutaj taborów cygańskich, treserów niedźwiedzi czy „szczurołapów” (choć na Białostocczyźnie przypadki wyprowadzania szczurów przez tzw. „dziadków” znane były jeszcze w roku 1938<sup>3</sup>), to wiedza o tym wszystkim

---

<sup>3</sup> Najdawniejsze ślady pobytu Cyganów na Podlasiu – jak pisze w swojej książce *Cyganie polscy* Jerzy Ficowski (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1953) – przypadają na lata 1588-1607. Ten obszar był ostatnim w kraju, na który przybywali Cyganie (w okolicach



zawsze była obecna i funkcjonowała choćby jako groźba kary wymierzana przez rodziców. Mówiło się: „Bądź grzeczny, bo jak nie, to przyjdzie Cygan, wsadzi cię do worka i poniesie daleko stąd”.

Wiedza o koczowniczym trybie życia i charakterystycznych dla cygańskiej grupy etnicznej zachowaniach płynęła nie tylko z relacji swoich sąsiadów czy „sąsiadów ich sąsiadów”, ale chociażby z prasy (a ta docierała wyłącznie do tych, którzy zwiedzili pół świata, to znaczy bywali w „wielkim Białymstoku”, czy „jeszcze większej Warszawie”). Prasa przedwojenna co pewien czas informowała o pojmaniu cygańskich koniokradów. Na przykład „Kurier Warszawski” 15 lipca 1937 roku pisał, że „na terenie powiatu warszawskiego i pułtuskiego grasowała od pewnego czasu nieuchwytna banda koniokradów”. Gdy policja ją schwytała – gdzieś pod Wawrem – okazało się, że na czele tej „bandy” stał 14-letni Cygan, Juliusz Cybulski. „Pełnomocnikami koniokrada były jego siostry: 28-letnia Wanda i 23-letnia Anna (...). Cybulski” – czytamy dalej – „zręcznie zmieniał przy pomocy farby maść skradzionych koni, obcinał ogony, a następnie sprzedawał konie paserom”. Tekst dziennikarski kończył się informacją: „W chwili aresztowania Cyganie prowadzili na targ skradzionego pod Mińskiem Mazowieckim konia. Bandę koniokradów osadzono w więzieniu”.

A Mieczysław Wiaderny utrwalił taką opowieść:

„W Buraczanach padł pomór na krowy. Starzy ludzie – a było to dawnymi laty – doszli do przekonania, że ktoś rzucił czary. Podejrzanie padło na Cygana, który kręcił się po wsi. Schwytano go i chociaż nie przyznawał się do winy, skazano go na powieszenie. Przed egzekucją spytano go, jakie ma ostatnie życzenie. Chytry Cygan odpowiedział, że pragnie po raz ostatni zatańczyć. W chwilę potem, otoczony przez obecnych półkolem, tańczył do upadłego. Aż wypatrzywszy odpowiedni moment i wolne miejsce między otaczającymi go ludźmi – dał drapak. Ucieczka się udała i wieczorem tego dnia dotarł Cygan do pewnej wsi, gdzie poprosił o nocleg. Gdy jednak kładł się spać, położył sobie poduszkę nie pod głowę, lecz pod nogi. Zdziwiło to gospodynię, więc spytała go: *Co robisz, głupi Cyganie? Na to Cygan: Ej, gospodiu, gdyby nie te nogi, to głowa wisiałaby teraz na stryczku*”.

## Trochę konkretnie o świecie

Siedząc przed laptopem w jednej z knajpek „przyjaznej pracy” w Katowicach, dokąd w ramach programu MOST przyjechała na jeden semestr, Anka wraz z koleżanką zjadła lekkie i smaczne danie wege i prowadziła intelektualny dyskurs. Co jakiś czas spoglądała przez duże okna knajpki, a jej oczom ukazywała się wisząca na ścianie sąsiedniego budynku reklama

---

Lwowa, Sambora i Sanoka zaczęli pojawiać się już od połowy wieku piętnastego), lecz również pierwszym, który w XVI wieku dawał im bezpieczny przytułek. Były to czasy Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony. III Statut W.X.L. zabraniał przyjmować Cyganów i nakazywał ich wypędzanie, grożąc karami pieniężnymi lub więzieniem. W roku 1589 i 1590 nałożono na nich uniwersały w postaci „podatku pogłównego”. Wynosił on „od każdej osoby po groszy piętnaście” i miał być wpłacany do skarbu Rzeczypospolitej. Zwrot „miał być wpłacany” jest tutaj adekwatny – w wykazach poborowych nie ma najmniejszego śladu wpłacania przez Cyganów podatku nałożonego przez wspomniane uniwersały. Siedem lat później wyszła uproszona przez Podlasian konstytucja zezwalająca tylko osobom poszkodowanym z powodu przechowywania Cyganów wnosząc do sądów oskarżenie na udzielających im przytułku. Była to próba uniknięcia fałszywych donosów będących tylko sposobem walki między zwaśnionymi szlachcicami. W ten sposób wygnanie Cyganów z Podlasia ograniczono w zasadzie do wypędzania jawnych szkodników, a ono – Województwo Podlaskie – jako pierwsze spośród pozostałych dzielnic dało przytułek licznym Cyganom, którzy tam właśnie ścigali w ucieczce przed surowością prawa. Prawo zmieniło się później wielokrotnie, a wraz z nim zmieniła się sytuacja Cyganów. Jej poprawie w Unii Europejskiej mają służyć obchodzone: 2 sierpnia (od 1997 roku) Dzień Pamięci o Zagładzie Romów (w Polsce: Dzień Pamięci o Zagładzie Romów i Sinti został uchwalony w 2011 roku), 5 listopada (od 2009 roku) Międzynarodowy Dzień Języka Romskiego, 8 kwietnia (od 1990 roku) Międzynarodowy Dzień Romów. Jednak najbardziej wymowna zmiana dotyczy roku 1971. Wtedy właśnie na I Światowym Kongresie Romów w Anglii termin „Cygan” zastąpiono „Romem”.

społeczna o treści: „Dorota, Krzysztof, Roman, Elżbieta. Polacy. Romowie. Jedni z wielu”. Z pewnym niezadowoleniem przeglądała w Internecie felieton kulinarny: „Przed męczącym światem postmodernizmu i modnym jedzeniem typu wege postanowiłem skryć się u Wojtachy”, czytała lead felietonu. „Tu mnie popieścił delikatny zapaszek wsiowy i rozparał wieprz<sup>4</sup>”. I dalej: „Świat się zmienił i nastał postmodernizm, człowiek się zmienił i nastał post-człowiek. A tutejszy przepis na płaskokształtne ozorki – od ponad 20 lat ten sam. Golonka też nie ewoluowała. Tutaj golonka to golonka, a ozorki to ozorki – bez żadnych przeinaczeń. No bo i po co tworzyć danie z księżycy, skoro klient nie sięgnie po nie? Klient tarnogórskiej Starej Stajni u Wojtachy jest tradycyjny”.

„Nie, to miejsce, którego nie odwiedzę”, powiedziała do koleżanki, przepychając w prawy policzek soczewicę w kremowym sosie pomidorowym i popijając sok ze świeżo wyciskanej porzeczki. „Czasy, gdy się zjadało zwierzęta, już dawno minęły. To powinno być zakazane!”.

Wspomniała sobotnie popołudnie 2002 roku, gdy Śmieszny Krzysio „swoim spojrzeniem rzucił na nią zaklęcie”. Potem przecież już nigdy nie poszli „na bagna”, coraz rzadziej pisali do siebie siostrzano-braterskie esemesy. Nawet nie widywali się zbyt często, bo gdy ona przyjeżdżała do rodzinnych Buraczanów, on znajdował powody, aby stamtąd wybyć. Anka: „On wierzy w te swoje zabobony. Gdyby poszedł na studia, to może wiedziałby, że zabobony to jedno, a wiedza, jaka płynie z nauki, to drugie. I że w XXI wieku najważniejsza jest nauka. Trzeba być otwartym. Nie ma żadnych fatalnych oczu!”.

Napisała do niego maila: „Porozmawiałabym z Tobą, zupełnie nie wiem, co u Ciebie, a ojciec nie chce nic mówić. Milczenie z mojej strony nie wynika z braku zainteresowania. Gdybyś wyraził chęć, to zadzwonię. Twoja siostrzyczka”.

Potem jeszcze jednego: „Tkwisz w swoim hermetycznym, heteronormatywnym świecie, wierzysz w zabobony. A świat jest taki niejednorodny. Jak na razie względnie dużo w życiu osiągnęłam, tzn. zrozumienie dla tego świata. A Ty chyba nie. Życzę Ci jak najlepiej. Twoja Ania-z-którą-kiedyś-chodziłeś-na-bagna”.

Zaraz jednak wróciła do dyskursu na temat „płci maszyny w ujęciu posthumanistycznym”. Jej koleżanka z krótko przystrzyżonymi włosami dowodziła: „Jeśli przyzna się płci robota esencjonalną autonomizację, to może mieć ona moc nieustannego różnicowania ugruntowanego już kulturowego zestawu płci, nie sądzisz?”. Anka uzupełniła: „Przez zanegowanie różnicy seksualnej w cyberfeminizmie wychyla się niebezpieczeństwo traktowanie kobiecości nie jako konwencjonalnej i pełnoprawnej strategii płciowej, lecz jako rzeczy, którą można łatwo osiągnąć. Narracje o stworzeniu przez człowieka istoty nieludzkiej nie są wolne od projektowania na owe twory ludzkiego, a przede wszystkim męskiego spojrzenia. Okropna synteza patriarchalnego myślenia, które fetyszyzuje technologię! Czy nie jest to deprecjonowanie kobiecości i destabilizowanie binarnych podziałów?”.

A potem raz jeszcze spojrzała na swoją koleżankę, podrapała się po głowie i cicho-ciepłym głosem zapytała: „Jak w ogóle sądzisz – czy można powiedzieć cokolwiek konkretnego o rzeczywistości?”.

„No właśnie to jest konkretne. Te podziały binarne są konkretne, chociaż inni w ogóle tego nie rozumieją. Tego niejednorodnego świata nie rozumieją”, wyjaśniła jej koleżanka i przegryzła ciastko z siedmiu zbóż.

---

<sup>4</sup> Alan Misiewicz, „Stara Stajnia u Wojtachy: tu doświadczysz mocy karczemno-wiejskiego jadła”, w: „Gazeta Wyborcza Katowice”, październik 2014 r.